№ 18. 1. Maja 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Słownik kaszubski.

(*Stefan Ramułt.* Słownik języka pomorskiego czyli kaszubskiego. Praca odznaczona nagrodą Akademji umiejętności w Krakowie na konkursie im. S. B. Lindego w r. 1889. Kraków 1893.)

Rok 1893 rozpoczął się korzystnie dla filologji słowiańskiej szczególnie na polu djalektologji. W styczniu wyszło wspaniałe dzieło Muki: gramatyka języka Serbów łużyckich, wydane nakładem towarzystwa im. Jabłonowskiego, w Lipsku; również z początkiem rb. zaczął wychodzić słownik ukraińsko-rosyjski, który obejmie dwa spore tomy i o którym wkrótce zdamy sprawę nieco dokładniej, a obecnie p. Ramułt wypuścił w świat od dawna oczekiwany słownik języka pomorskiego czyli kaszubskiego, należący niewątpliwie pod względem metody naukowej do najlepszych prac, jakie w ogóle mamy na polu djalektologji słowiańskiej, tak bogatej w nieprzebrane i cenne materjały, a tak ubogiej w fachowych pracowników. Słownik ten, o ile wiemy, jest pierwszą naukową pracą pana Ramułta, tem więcej przeto przynosi chluby autorowi właśnie ta metodyczna ścisłość badania i bogactwo zebranego materjału, który o wiele przewyższa wszystko to, co dotychczas zrobionem było na polu kaszubszczyzny.

Szczęści się też Kaszubom, więcej niewątpliwie, niż któremukolwiek z drobnych djalektów słowiańskich. Drobna stosunkowo grupka etnograficzna, licząca niespełna 200.000 głów, której język do niedawna jeszcze uważano za popsute germanizmami, zwyrodniałe narzecze mazurskie, od lat kilkunastu zajmuje uwagę całego szeregu pilnych i nieraz bardzo wybitnych pracowników, lingwistów i etnografów, a kwestja stanowiska mowy kaszubskiej w gronie innych języków słowiańskich roztrząsaną jest bardzo pilnie. Nawet w sfery szerokiej publiczności, dalekiej zazwyczaj od interesów ściśle filologicznych, zainteresowanie językiem kaszubskim wniósł w r. 1880. piękny poemat Derdowskiego „O ponu Czorlińscim. co do Pucka po sece jachoł“. Zdaje mi się, że rozgłos, jaki wówczas powszechnie zdobyła sobie ta książeczka, skłonił też p. Ramułta, Galicjanina, do bliższego zajęcia się Kaszubami i ich językiem. Dojrzałym owocem długoletnich studjów, kilkukrotnych poszukiwań na miejscu i niezmordowanej pilności jest książka obecna, która ma być tylko pierwszą częścią obszerniejszej pracy o Kaszubach, a która i tak daje nierównie więcej, niż obiecuje tytuł.

Nadzwyczaj zajmujący i obszerny (48 stron 4-to) wstęp poprzedza samą część leksykalną. Wstęp ten „O Kaszubach i ich mowie“ podaje naprzód rys etnograficzno-historyczny ludu pomorskiego od najdawniejszych czasów, dalej opis obecnego stanu etnograficznego i krytyczne zestawienie wiadomości o statystyce Kaszubów. Z tego rozdziału dowiadujemy się, że ludność, zwana obecnie Kaszubami, jest resztą potężnego niegdyś plemienia słowiańskiego Pomorzan. Nie wszystkie te resztki zowią się Kaszubami. Ludność dokoła jeziora Łebskiego w pow. słupskim prowincji pomorskiej znaną jest pod nazwą K a b a t k ó w, niedobitki zaś nad jeziorem Garnskiem czyli Gardeńskiem w tymże samym pow. zowią się Słowieńcami. Nazwa Kabatków zdaje się być nie własną, ale narzuconą przez obcych. Poczucia narodowego zarówno u Kabatków jak i u Słowieńców brak; gwarą pomorską posługują się oni w najściślejszem tylko kółku rodzinnem, na zewnątrz zaś są niemal zupełnie Niemcami! Niemcy jednak chętnie wyróżniają się od nich, patrzą na nich z pogardą, jak na coś niższego i nazywają ich „Wenden“.

W dalszych dwóch rozdziałach autor zestawia szczegółowo dźwięki języka pomorskiego, dla których wiernego oddania musiał obmyśleć specjalną grafikę, konsekwentnie przeprowadzoną w całym słowniku i w dołączonych przy końcu speciminach; charakteryzuje dalej narzecza języka pomorskiego, zastrzegając się z góry, że praca w tym kierunku, bez uprzednich opracowań monograficznych nie może mieć pretensji do ścisłości i wyróżniając trzy główne grupy według geograficznego rozsiedlenia się Kaszubów, a więc gwary północne, środkowe i południowe. Słownik p. Ramułta jest odwzorowaniem gwar środkowych, któremi mówi przeważna część Kaszubów; język, którym napisany jesst poemat p. Derdowskiego, należy do gwar południowych, najwięcej zbliżonych do polszczyzny, przyczem zauważyć należy, że i grafika, użyta w owym po-

emacie, jest polską, a więc zaciera wiele właściwości gwary kaszubskiej.

Bardzo szczegółowo i umiejętnie porównuje dalej p. Ramułt język kaszubski z polskim. Porównanie to doprowadza go do wniosków, streszczonych w rozdziale VI. Wnioski te, nadzwyczaj doniosłe dla filologji słowiańskiej i stanowiące główną i, o ile sądzić możemy, trwale ugruntowaną zdobycz studjów autora, brzmią jak następuje:

1. Mowa Kaszubów i Słowieńców nie jest bynajmniej narzeczem polskiem, ale odrębnym językiem słowiańskim. Autor wykazał przeszło sto właściwości gwar kaszuskich, odrębnych od języka polskiego w jednym tylko dziale fonetyki, w tej liczbie i takie np., że język kaszubski posiada dwa razy tyle samogłosek. co język polski, i więcej w ogóle, niż jakiekolwiek inne narzecze słowiańskie, że nasalizm jest w nim rozwinięty nierównie więcej, jak w języku polskim itp. W sposób trafny i dobitny polemizuje autor z uczonymi (Kryński, ks. Pobłocki), którzy uważają język kaszubski za narzecze języka polskiego. Zdaniem autora język ten jest

2. wespół z wymarłym językiem Słowian połabskich narzeczem jednego i tego samego języka, odrębnego od wszystkich innych języków słowiańskich.

3. Język ten należałoby nazwać pomorskim. Jest to język, należący do familji języków zachodniosłowiańskich, która w taki sposób składać się będzie z czterech grup, a mianowicie czesko-słowackiej, łużycko-serbskiej, polskiej i pomorskiej.

Krótki ale treściwy „przegląd prac z zakresu leksykografji pomorskiej“ kończy wstęp, poczem na 278 stronach dwuszpaltowych następuje sam słownik.

Nie będąc filologiem z zawodu, nie myślę wdawać się w ocenianie leksykalnej strony, oddawania dźwięków i określania znaczenia wyrazów w tym słowniku. Dla mnie największą w nim ponętę przedstawia bogaty zbiór frazeologji: zwrotów językowych, przysłów itp.. dołączonych do każdego wyrazu dla udokumentowania, w jakiem znaczeniu, w jakiej konstelacji językowej dane słowo bywa używane. Że te przykłady prócz ściśle leksykalnej strony dają też niezmiernie liczne przyczynki do studjów nad składnią, a także do etnografji Kaszubów, to się rozumie samo przez się. Przy końcu dodał autor nie wielki co do objętości, lecz nadzwyczaj cenny zbiorek podań, wierzeń, powiastek, anegdot i opowiadań ludu kaszubskiego, zapisanych i wydanych z przestrzeganiem tej samej ścisłości fonetycznej, co i w słowniku.

Za to piękne dzieło należy się prawdziwa wdzięczność od wszystkich miłośników ludu zarówno p. Ramułtowi, jako też i Akademji krakowskiej, która nie szczędziła kosztów na godne i staranne jego opublikowanie. *Iw. Franko.*

Oryginał z Piskorzewa

powiastka Junoszy.

(Dokończenie.)

— Przepraszam pana – rzekła z oburzeniem regentowa — żądam obrony honoru mej siostry; jeżeli pan dać mi tego nie możesz, odjeżdżam natychmiast i nie zobaczymy się więcej. Żądać będę seperacji, a nawet rozwodu, i możesz być pan pewny, że ostatecznie znajdę jeszcze człowieka, który obowiązki obrońcy czci niewieściej inaczej pojmować będzie niż pan.

Regent, który kochał kapryśną swoją Marynię, przeraził się stanowczością jej głosu.

— Ależ — rzekł — moja duszko, daj jasną informację, powiedz wyraźnie czego chcesz?

— Obrony honoru siostry, zemsty, zadosyćuczynienia... poślij mu świadków i wyzwij go!..

— O nie! do wszystkich aktów świadków używam, ale do takiego nie głupim — wolę jnż sam pójść do niego.

— I wyzwiesz go?!

— Ba, a jeżeli przyjmie.

— To będziesz się z nim strzelał.

— Mogę zostać ranionym.

— Gdyby nawet... jest doktór, wyleczy cię.

— Hm, hm... nie spodziewałem się, że moje zdrowie, może nawet życie, jest ci do tego stopnia obojętne.

— A czy widziałeś biedną moją Stefcię?

— Nie, cóż ona robi?

— Płacze...

— Po Dezyderym!..

— Ty nie znasz serca kobiety, ty nie pojmujesz jakie tam skarby uczuć.

— Pojmuję, pojmuję, wszakże mnie na pewną śmierć wysyłasz, a przecie jakkolwiekbądź, ale jestem twój mąż, przeżyłem z tobą zgodnie lat...

— O honor chodzi, o honor Stefci, o mój, o twój, o to, że roztrąbili po mieście, że ja nawet, nie wprost, ale pośrednio — prosiłam parę osób na wesele, że ... ostatecznie tak być nie może — on się ożenić musi! Ja nie żądam, żebyś go koniecznie zastrzelił, nie domagam się, żebyś go postrzelił, możesz wcale nawet nie strzelać, ale pójdź do niego, rozmów się z nim po męzku, energicznie, stanowczo. Ja cię za to sto, tysiąc razy serdeczniej kochać będę, niż dotąd... tylko proszę cię, zrób to dla mnie koniecznie. No cóż? pójdziesz?

— Pójdę.

— Dziś?

— I będziesz stanowczy?

— Jak kamień! Licha zje, jeśli mnie skruszy.

— Pamiętaj mężu, że to nie tylko o Stefcię, ale o nas oboje chodzi.

. . . .

Wojciechowa układała rzeczy w podróżnej walizie, pan Dezydery porządkował notatki, gdy regent wszedł do pokoju.

— Moje uszanowanie panu dobrodziejowi — rzekł.

— Dobry wieczór, miło mi, że pana regenta widzę. Byłem dziś u państwa, ale nie zastałem pana.

— Czynność miałem na mieście. Kulikiewicz, uważa pan dobrodziej, młynarz, co ma dwa wiatraki na górce, bardzo chory, wzywał mnie do testamentu. Mocno żałuję, że mnie pan dobrodziej w domu nie zastał. Pan dobrodziej, jak słyszę, wyjeżdża...

— Nie czynię tego z własnej woli.

— No? a cóż za przyczyna?

— Doktór mię wypędza; wodami się leczyć każe, klimatem, więc cóż mam robić?

— Naturalnie, ci panowie wyrokują bez apelacji, radzi nie radzi poddawać się ich rozkazom musimy. Przynajmniej pogodę piękną będzie pan miał na drogę; barometr stale idzie w górę.

— Może kieliszek wina, regencie?

— Chyba czerwonego i to z wodą sodową, ogromne pragnienie mam. Szczególna rzecz, ile razy się zirytuję, zawsze mi się pić chce.

Pan Dezydery spojrzał na regenta uważnie i zapytał:

— Cóż szanownego pana tak podrażniło? jeżeli wolno zapytać.

—O! ten testament właśnie. Wyobraź sobie pan co to są ludzie! Na łożu śmiertelnem leży, przed sądem Boskim lada moment stanie, a o nędzne honorarjum targuje się jak żyd. Im który bogatszy, tem skąpszy, a co to pomoże, taksa jest stała. Obrzydliwe sknerstwo!

Wojciechowa przyniosła wino i wodę, pan regent gasił pragnienie.

— I w którąż stronę świata pan dobrodziej się udaje?

— Do południowej Francji, do Włoch, może dalej, zależeć to będzie od stanu zdrowia.

— Pozazdrościć takiej wycieczki. Ja bo jestem wielkim amatorem podróży i doprawdy, gdyby nie kancelarja, włóczyłbym się po świecie całemi latami, ale nie można. Wie pan Dobrodziej, moja wątroba aż piszczy do Karlsbadu a tu ani rusz.

— Dla czego?

— Trzeba urządzić zastępstwo, a komuż je powierzyć? Mój Szrajberski w gruncie nie zły człowieczyna, tylko lubi się czasem upijać, o notarjacie ma takie pojęcie, jak kura o pieprzu, no i pieniędzy nie bardzo mu można powierzyć. Gdyby nie te trzy małe felerki, byłby bardzo dobrym zastępcą i ja naturalnie mógłbym co rok Karlsbad odwiedzać, ale tak...

— W istocie, to przykre położenie...

— Ha, cóż robić. Pozwoli pan dobrodziej, że mu zadam jedno pytanie, może niedyskretne, ale istotnie ciekaw jestem.

— Proszę bardzo...

— Co się też stanie z tym ślicznym domem, który pan wybudował?

— To już nie mój dom, panie regencie?

— Sprzedał pan?

— Nie — ofiarowałem go miastu na szkołę.

— Zkąd taka myśl?

— Dawno już ją miałem i jak pan zapewne uważał, budowałem dom na ten cel podług najnowszych wymagań hygieny szkolnej. Nie chwaląc się, ale takiego budynku szkolnego jak ten, nie znajdzie pan w żadnem z naszych miasteczek. Właśnie przed godziną powróciłem od burmistrza, u któregom złożył deklarację co do darowizny.

— Piękna ofiara, wspaniała ofiara — rzekł regent — ale kosztowna!

— Nie mam dla kogo zbierać pieniędzy, a do grobu ich z sobą nie wezmę. Niejedno byłbym zrobił dla miasta, ale wyjazd mi przeszkadza.

— Więc to nieodwołalne.

— Jutro raniutko już mnie tu nie będzie, konie zamówione na poczcie.

— W takim razie nic mi nie pozostaje, jak życzyć panu dobrodziejowi szczęśliwej podróży i pożegnać go.

— Idzie pan już?

— Rozumiem dobrze, że przed wyjazdem nie bardzo pan ma czas. Zapewne to i owo i dziesiąte jest jeszcze do zrobienia, a więc szczęśliwej drogi i rychłego powrotu... Zapisałeś się pan pięknie w pamięci miasta, taki hojny dar! taki dar!

— Mała rzecz...

— A nie panie dobrodzieju, nie, to duża rzecz, o tem w gazetach pisać będą.

. . . .

— No, Maniu — mówił regent w pół godziny później do żony — możesz sobie powinszować, że masz męża pełnego energji, żałuj, że nie widziałaś i nie słyszałaś, jak ja go przypierałem do muru — było co widzieć!

— Groziłeś?

— A naturalnie, wspomniałem o pistoletach, o pałaszach, o krwi... ale chwała Bogu, dzięki mej stanowczości, wszystko się jak najpomyślniej skończyło...

— Więc się ożeni?

— Tylkoby jeszcze tego brakowało!

— A zatem?

— Duszko, podziękujmy Bogu, żeśmy się zawczasu spostrzegli i zerwali.

— My?

— Naturalnie; skorom zerwał, to w imieniu twoem, Stefci i mojem własnem. Możesz to powtórzyć przed całem miastem, że byłoby nieuczciwością z naszej strony powierzyć losy siostry w ręce warjata.

— Ah!

— Posłuchaj tylko Maryniu, posłuchaj uważnie. Gdym na niego nasiadł po mojemu, jak to ja umiem, stanowczo, zmieszał się ogromnie i zaczął pleść trzy po trzy, zupełnie bez sensu. Potem przyznał mi się, że ten piękny dom, który wybudował, już nie należy do niego.

— Tak?

— Wyobraź sobie, darował go miastu na szkołę.

— Nie może być!

— Niech burmistrz powie. W podobny sposób już zmarnował, lub zmarnować zamierza całe swo-

je mienie. W tego rodzaju sprawach mam niejaką biegłość i dość było jednego rzutu oka, abym ocenił sytuację. Manieczko, nie potrzeba tego rozgłaszać, ale ten człowiek, jeżeli nie jest jeszcze zrujnowany, to zrujnuje się w bardzo szybkim czasie. Pozostanie ta głupia willa, głupia powiadam, bo chociaż ładna i elegancka, jednak nie ma żadnej realnej wartości.

— W takim razie, mężu, dobrze się stało, żeśmy pierwsi zerwali, dziękuję ci z całego serca, żeś tak dobrze moją myśl zrozumiał...

To mówiąc podała mu rękę, którą czuły małżonek skwapliwie dó ust przycisnął, uśmiechając się z miną tryumfującego dyplomaty.

— Zawsze mówiłem, że to jeszcze niedowiedzione — rzekła pani Marja — i przyznaję, że byłam w błędzie. Opinia publiczna rzadko się myli, Dezydery jest skończony waryat!..

. . . .

Pan Dezydery odjechał raniutko; stary doktór towarzyszył mu do najbliższego lasku, zkąd miał pieszo powrócić. Przez drogę rozmawiali bezustanku. O uszy pocztyliona ciągle obijały się wyrazy: komisja sanitarna, szpital, ogród miejski, skwer... Słyszał też pocztylion, że doktór obiecywał pisać często i obszernie.

W lasku pożegnali się; doktór pieszo powracał do miasta, a pan Dezydery dążył do stacji, zkąd po gładkich szynach wolna droga, choćby na kraj świata.

Nad brudnym, odrapanym Piskorzewem świeciło jeszcze słońce, ku wielkiej uciesze dam i panien, które tego dnia zmobilizowały się i stanęły na stopie wojennej.

Ruch był ogromny, bieganina wielka. Tyle do zakomunikowania sobie wzajemnego, tyle nowości! Zerwanie małżeństwa, wyjazd Dezyderego, ofiarowanie tak pięknego budynku na rzecz miasta... tyle materyału do rozmowy, do krytyki, taka obfitość sensacyjnych wieści!

Pani regentowa przez cały dzień przyjmowała wizyty; drzwi się nie zamykały, przychodziły i wychodziły w nieustającej procesji dama za damą, panna za panną, dopytywały o szczegóły, słuchały objaśnień. Regent uciekł, zamknął się w kancelarji i dyktował akty Szrajberskiemu, który coraz z większą niecierpliwością spoglądał na zegar...

— Kręcisz się pan — mówił regent — piwko cię nęci, co?

Broń Boże, panie regencie, tylko wychodząc z domu zostawiłem ciotkę mocno chorą i chciałbym się o jej zdrowie dowiedzieć.

Poczciwy skryba! co dwie godziny ciotkę odwiedzał, a że bawarja była po drodze — więc cóż miał robić — wstępował. W walce zwycięża silniejszy, a pokusa była właśnie silniejsza niż Szrajberski.

W trzy dni później pani regentowa odwiozła siostrę do Warszawy, a po upływie pół roku, oboje regentowstwo pojechali tam na wesele.

Ładna wdówka znalazła sobie męża. Nie był to wprawdzie Dezydery, tylko Paweł, ale prawie taki jak Dezydery, może trochę starszy, trochę bogatszy i łatwiejszy do złowienia w sidła kokieterji. Jest uniżonym sługą i podnóżkiem swojej żony, bo jak twierdzi pewna niewiasta pisząca, nie ma tak twardej skóry mężkiej, by się nie dała przerobić na bardzo miękki i wygodny pantofel.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pani Stefanja pozwoliła się powtórnie w więzy małżeńskie skrępować, Dezydery powrócił do Piskorzewa i rozwinął ku wielkiemu zgorszeniu mieszczan i żydów energiczną działalność, w czem bardzo mu dopomagał stary doktór.

Dziwak nie szczędził pieniędzy i ciągle miastu robił różne prezenta, a wobec jego ofiarności i uporu, opozycja musiała ustąpić. Piskorzew trochę porządniej wygląda, zamiast brudnej kałuży na środku rynku jest skwer, ulice drzewami powysadzane, podczas nocy w pryncypalnych punktach miasta pali się dwanaście latarni. Szkoła funkcjonuje, a mularze zakładają fundamenta pod szpital.. kosztem pana Dezyderego... Stary doktór pilnuje budowy i... fundatora.

To drugie trudniejsze było. Dezydery nie doczekał końca budowy szpitala — umarł.

Na pogrzebie było mnóstwo osób, całe miasto, i inteligencja i mieszczanie i żydzi. Gdy powracano z cmentarza, każdy do powiedzenia coś miał.

Biedacy wzdychali, Wojciechowa, chociaż obdarzona sporym, za wierną służbę zapisem, rozpadała się z żalu za dobrym panem, inteligencja krytykowała, zebrawszy się w gromadkę, do której przyłączył się także poważny obywatel i kupiec okowity, wielce szanowny pan Symcha Grünbaum.

— Mówcie państwo co chcecie — rzekł burmistrz — ale nieboszczyk był obywatel... moje uszanowanie!

— Warjat, ale w gruncie niezgorszy — dodała regentowa.

— Miewał jednak *lucida intervalla* — dorzucił aptekarz, który nie zapomniał, że w krytycznej chwili Dezydery mu przyszedł z pomocą.

— A jakież pańskie zdanie, doktorze? — spytał regent.

— Pod jakim względem!..

— No, niby co do poczytalności nieboszczyka: ostatecznie teraz, gdy umarł, można mówić szczerze. Czy miał bzika, czy nie? Pan powinieneś się znać na tem.

— Ależ — odezwał się ex podsędek — że mu brakowało piątej klepki, to fakt...

— Dziwak był!

— Nie — rzekł doktór — mogę państwa zapewnić, że miał władze w zupełnym porządku, tylko widział dalej niż my — czuł bardziej niż my, ludzi kochał więcej niż my — i dla tego nazwałbym go oryginałem...

— Ładne słowo, odezwał się Symcha Grünbaum, bardzo ładne słowo! U nas powiadają, że każde miasto ma swego warjata, ale szkoda, że nie wszystkie warjaty bywają takie wspaniałe...

Warszawa 1892.

KONIEC.

SZKOŁY NA SZLĄSKU.

napisał

WOJCIECH SZUKIEWICZ.

Nic chyba tak nie psuje moralnego kredytu każdej zasady, jak jej połowiczne, chwiejne zastosowanie. Teorja swoją drogą a zasie praktyka swoją drogą w żaden sposób chodzić nie powinny. Trwożliwe, filisterskie hasło — der goldene Mittelweg — nie godne ludzi uczciwych a energicznych. Rząd austryjacki powinien się już raz zdecydować, czy ludy monarchji Austro-Węgierskiej mają rozwijać się swobodnie i samodzielnie na gruncie narodowym, czyli też mają być zawsze krępowane i paraliżowane W teorji hołduje rząd pierwszej zasadzie, w praktyce stosuje się drugą. Jak dalece to jest prawdą dowodzą stosunki szkolne Szląska cieszyńskiego, prawdziwe curiosum sui generis. Trudno zaprawdę pisząc o tem zachować zimną krew, kiedy na każdym kroku spotyka się człowiek z ciężką niesprawiedliwością, wołającą o pomstę do nieba. Zgroza bierze na myśl, że 250.000 ludności polskiej ks. cieszyńskiego pozbawione są dobrodziejstw oświaty, no boć szkoły niemieckiej, a więc obcej, oświatą nazwać nie można. Na ostatniej sesji Delegacji wspólnych z powodu wystąpienia dep. Eima cały szereg mowców skonstantował, że tylko w Austro-Węgrzech mogą się Słowianie rozwijać swobodnie. Gdybyż tak było! Lecz Słowacy w Za — a Szlązacy w Przedlitawji są innego zdania! O Słowakach, tych nieszczęsnych ofiarach zaciekłej madjaryzacji, miałem sposobność pomówić obszerniej na innem miejscu; obecnie zaś pragnę poświęcić słów parę własnej krwi naszej, jęczącej pod obuchem bezwzględnej germanizacji.

Zacznijmy od szkoły ludowej. Przedewszystkiem musimy podkreślić fakt niezmiernie doniosły, że ks. cieszyńskie posiada więcej szkół ludowych, niżeli gmin wiejskich! Pochodzi to ztąd, że albo gmina jest ogromna jak n. p. Wisła, licząca przeszło 5000 m. i miriametr kwadratowy powierzchni (10 kilom. w kwadrat), wskutek czego ma aż pięć szkół, albo też w jednej i tej samej choć nie wielkiej gminie znajdują się szkoła katolicka, luterańska a nareszcie i niemiecka, zawdzięczającą swój byt Schulvereinowi. Stąd pochodzi, że oświata na Szląsku mogłaby się rozlewać szeroko, gdyż lud chętnie się do niej garnie, gdyby nie to, że ją gwoli celom partyjnym fałszują a właściwego celu zupełnie chybiają. Ściśle biorąc polskiej szkoły nie ma na Szląsku wcale; szkoła ludowa bowiem obejmuje w zupełności cztery klasy. Otóż w dwóch pierwszych nauka odbywa się po polsku, w trzeciej panuje system utrakwistyczny, a w czwartej cały wykład odbywa się jedynie i wyłącznie po niemiecku. W pierwszej klasie powinien się malec nauczyć 200 słów niemieckich, w drugich następnych dwiestu; w trzeciej zaczyna się składanie zdań jeszcze przy pomocy języka polskiego, a w czwartej mówi się już tylko po niemiecku! Czyż podobny system można nazwać szkołą polską? Oczywista, że nie albo raczej należy ściślej się wyrazić i powiedzieć, że istnieje szkoła polska jedynie dwuklasowa, podczas kiedy dwie następne klasy bezwarunkowo polskiemi nazywać się nie mogą. Że naturalnie dzieci ludu szląskiego najważniejszych zasad nauki i podstaw jej tak niezbędnie w życiu praktycznem potrzebnych przyswoić sobie nie mogą, to najmniejszej nie ulega wątpliwości, a krzywda, jakiej w ten sposób doznają, jest poprostu nieobliczalna i niepowetowana. Rzecz to o pomstę do nieba wołająca! Gdybyż jeszcze nauczyciele ludowi byli odpowiednio do swego zawodu przygotowani, zdołaliby niezawodnie wiele złego usunąć lub naprawić. Ale miary gwałtów, jakich się Niemcy na Polakach szlązkich dopuszczają, dopełnia fakt nieistnienia polskiego seminarjum nauczycielskiego! Doprawdy na podobnie piekielny system mogą się zdobyć tylko barbarzyńcy, dla których oświata i dobrobyt ludzkości stoją na drugim planie a na pierwszym zadowolenie krótkowidzącego egoizmu! Ludzie, mający być nauczycielami w szkołach ludowych polskich, pobierają sami naukę w języku niemieckim.

(Dok. nast.)

„Prezentuj broń!"

(Z FRANCUZKIEGO)

Felicjan Nucla.

I.

Noc miała się ku końcowi; słaby blask na wschodzie zwiastował zbliżanie się dnia. W obozie zaczynano się budzić, rozbudzano się jednak w milczeniu, wiedziano bowiem, że się gotuje bój gorący, każdy więc zapytywał sam siebie, czy nie po raz ostatni wschód słońca oglądać będzie. Poważną jest zawsze godzina, poprzedzająca bitwę krwawą; w chwili tej nie masz starców, ani młodzieńców; wszyscy się wiekiem równają, czując śmierć w sąsiedztwie; zanim ich woń prochu upoi, skupiają się w sobie.

Dwa pułki, składające brygadę jenerała Mauricier; zajmowały skrajne lewe skrzydło armji. W prze-

dedniu maszerowały do północy, wykonywując długi ruch obchodny, celem uderzenia w danym momencie z boku na nieprzyjaciela. Żołnierze czuli się znużeni lecz pełni zapału; rozumieli oni rolę rozstrzygającą, jaka im dla zapewnienia zwycięztwa w udziale przypadła.

Niebo łagodną jaśniało pogodą.

Jenerał zaledwie godzinę snowi poświęcił. Siedząc na stołku słomianym, duże zakurzone buty swoje grzał przy ognisku biwakowem. Adjutanci kręcili się dokoła niego. Siodłano konie.

Switała jutrznia historycznego, chlubnego dla Francji dnia.

W chwili tej młody, gołowąsy prawie podporucznik, niedawno ze szkoły St-Cyr wypuszczony wyszedł z cieniów i ukazał się w świetle biwakowego ogniska.

— Toś ty, Janie! — rzekł jenerał.

Serdecznie ku synowi dłoń wyciągnął.

— Czego chcesz?

— Uścisnąć cię, ojcze, nim pod bronią staniemy.

— Nie pora, chłopcze! — odparł jenerał tonem surowym, źle osłaniającym odcień wzruszenia. Nie jestem dziś twoim ojcem, lecz twoim jenerałem. Żadnego nie mam dla ciebie rozkazu: do pułku swego wracaj.

Młody oficer pokraśniał lekko, salutował i znikł; ojciec ścigał go wzrokiem tkliwym przez sekund kilka; później zwracając się do szefa sztabu, starego o siwym wąsie komendanta:

— Biedny malec! — rzekł — źlem go przyjął; ale nie teraz czas na sentymenty; dziś wieczorem, jeżeli dożyjemy obydwa, uścisnę go za matkę i za siebie.

Zabrzmiała trąbka: otrąbiono na pobudkę i powoli wojska w linji stawały.

Za brygadą, obok bukietu drzew, zainstalował się ambulans; pułki ustawiały się w szyku bojowym w sposób taki, ażeby kule nieprzyjacielskie jak najmniej głębokości do nurzania się w nich miały. Czekano.

Rozwidniło się zupełnie, postrzegano ciemne linje piechoty, manewrujące celem zajęcia pozycji. Przy ukośnych promieniach słońca, bagnety się iskrzyły. W dali połyskiwały kaski dywizji kawalerji; widzieć się dawały błyski szabel.

Słyszeć się dał huk działa i granat ze świstem przeniósł się ponad głowami; niebawem drugi granat upadł o kilkaset metrów z przodu. Artylerja nieprzyjacielska regulowała strzelanie i pierwsze jej wystrzały oderwane służyły do wzięcia odległości. Pociski padały z coraz większą dokładnością; jeden z nich pękł w szeregach francuzkich; trzech ludzi padło — ziemia pierwszy haust krwi wypiła.

Nieruchomy na koniu, strzyżącym uszami, jenerał lornetą badał horyzont, czekając na znak umówiony do ruszenia naprzód. Wysoka jego sylweta odbijała na tle szerokiej płaszczyzny. Wydawał się on tak spokojny, tak ufny, że młoda wiara czuła się widokiem jego wzmocnioną; wszyscy się weń wpatrywali, instykt bowiem powiadał im, że egzystencję ich w momencie obecnym węzeł tajemniczy związywał z egzystencją ich wodza.

Na odgłos granata, wśród wojsk jego padającego, jenerał odwrócił głowę.

— Powiedz pułkownikom — zawołał do jednego z adjutantów — niech każą się ludziom na ziemi położyć; mniej na kule będą wystawieni.

Oficer cwałem odjechał, celem wykonania rozkazu.

II.

Odwaga w nieruchomości najrzadszą jest między różnemi odwagi rodzajami. Rzucając się naprzód w upojeniu bitwy, nie spostrzega się widma śmierci, unoszącego się nad wojskami, nastającemi jedne na drugie; bieg zawzięty ku nieprzyjacielowi usuwa namiętne do życia przywiązanie, wzrastające w sercu człowieczem w miarę jak się niebezpieczeństwo zwiększa; w nieruchomości, przeciwnie, widząc dokoła siebie ranionych, energja mięknie; świst kul wprawia w drżenie i trzeba całą siłę duszy rozwinąć, ażeby czekać spokojnie na groźną zagadkę przyszłości, której nadejście za kilka może nastąpi sekund.

Na rozkaz żołnierze legli, wsuwając się w wyryte przez pług bruzdy; widać ich prawie nie było, niektórzy wysuwali nieznacznie głowy, starając się w dał spoglądać.

Ci z pośród nich, co z rodzin rolniczych pochodzili, znajdowali rodzaj uspokojenia, wdychając zblizka ostrą woń świeżo zoranej ziemi; oglądali siebie przy uprawie swojej roli i myśl ich z rozrzewnieniem wracała do skromnej wsi, którą rzucili, nie wiedząc ażali powrócą do niej kiedy.

Oficerowie pozostawali na nogach, chcąc dać ludziom swoim przykład postawy spokojnej; przed każdą kompanją, kapitan, porucznik i podporucznik przechadzali się krokiem powolnym lecz pewnym.

Kiedy niekiedy zatrzymywali się i końcem szabel wyrzucali w dal z pod nóg kamyki; byli poważni i godności pełni, czując, że na nich patrzą, przejęci obowiązkami żołnierskiemi, odważni i dumni, że życie swoje za Francję na hazard wystawiają.

Jenerał wyglądał ustawicznie sygnału, na który czekał, ażeby brygadę swoją naprzód pchnąć

Przez lunetę śledził losy walki, odbywającej się w małym folwarku, położonym nieopodal.

Kolumna francuzka, do ataku sformowana, usiłowała odebrać nieprzyjacielowi dom, broniony z rozpaczliwą wściekłością. Grona ludzi, wspinając się po drabinach, darły się przez mur, który został ukrenelowany i z po za którego, przez otwory, działa rzygały kartaczami. Od zdobyczy tej, w tym punkcie, zależał wyrok fortuny. Tyle walk dyplomatycznych przed wojną, tyle przygotowań wojennych, tyle transportów ludzi i dział, tyle wysiłków intelektualnych i materjalnych skupiło się w zapytaniu: czy mur ten zostanie, czy nie zostanie przekroczony?

Skromny mularz, którego ręka nieświadoma wzniosła zagrodę tego folwarku, nie domyślał się, że

prostacze dzieło jego zajmie miejsce w historji dwóch narodów i że jego kielnia rzemieślnicza była jednem z narzędzi, rozstrzygających losy świata.

Nagle jenerał się poruszył; dostrzegł sygnał umówiony.

— Stać!... — krzyknął.

I patrzył na dwa pułki, powstające na głos jego. Nareszcie! zacznie się taniec!

Żołnierzy myśl ta rozpalała; spieszno im było pójść zdwojonym do ataku krokiem.

III.

Jenerał Mauricier okiem ku punktowi, w którym wiedział, że się syn jego znajduje, rzucił, dla zapewnienia się, czy nie raniony.

Dostrzegł go. Z miną promieniejącą szablę w ręku trzymał, upajał się nadzieją sławy. Ojca dumą napawało to dziecko, które nazwisko jego nosiło i w którem czuł prawowitego epoletów swoich spadkobiercę.

Z tą myśli szybkością, która w jedną sekundę ogląda przed sobą przechodzącą przeszłość całą, jenerał nanowo młodość własną przeżył. Odszukał uśmiechnięty szereg swoich lat wiośnianych. W pomroku wspomnień dostrzegł kołyskę syna ukochanego i uczuł przypływ gorący rozrzewnienia niewysłowionego.

Gdy usta do rzucenia rozkazu: „Naprzód"! przyotwierał, zwrócone na podporucznika oczy jego osłupiały ze zgrozy.

Kula działowa obie nogi młodemu strzaskała oficerowi; padł bez wydania krzyku.

Jenerał wobec widowiska tego oniemiał. Syn mu umierał, on go po raz ostatni uścisnąć nie mógł, ponieważ od obojętności zachowania się jego w momencie tym zależała waleczność sześciu tysięcy ludzi.

Wielkie łzy stoczyły się po policzkach starego żołnierza; była to jedyna oznaka zewnętrzna, narzucona przez słabość rodzicielską stoicyzmowi wodza.

Dwaj infirmierzy podskoczyli i unieśli umierającego. Ojciec nieruchomie przypatrywał się temu smutnemu widowisku.

Gdy pogrzebowy pochód mimo niegop rzechodził jenerał odkrył przed podporucznikiem głowę; nagle, tonem, w którym nic ludzkiego nie było, krzyknął:

— Każcie sprezentować broń!

— Prezentuj broń! — podchwycili pułkownicy.

I brygada cała odała zmarłemu młodemu oficerowi najwyższą cześć, należną jego stopniowi.

Ten, co za ojczyznę umierał, najuroczystsze otrzymał od niej pozdrowienie.

Wówczas, prostując się na strzemionach, pijany boleścią i krwią, jenerał wydał nie okrzyk, ale ryk:

— Naprzód! na bagnety!

Brygada, przejęta zapałem, ku nieprzyjacielowi się rzuciła.

Obrazki ze świata alpejskiego.

Kreślił
Dr. Jasiński.

—

Alpy i nadbrzeża morskie! Oto uzdrowiska, do których wzdychają w letniej porze roku tacy mieszkańcy miejscy, którzy już mieli sposobność poznać ich urok zdrowotność ich klimatu. To też lata zeszłego zatęskniłem także ja za temi uzdrowiskami i postanowiłem uciec się na ich łono. Wybrałem zaś tym razem nie pomorze, lecz Alpy. Wiedząc zaś z doświadczenia, że klimat alpejski przynosi największe korzyści wtedy, jeśli nie pozostajemy bez przerwy w jednej i tej samej okolicy, lecz nacieszywszy się nią do syta, zmieniamy miejsce pobytu, aby dostarczyć zmysłom świeżych wrażeń, ułożyłem program mej podróży, jak zawsze, z wielu okolic i to właśnie takich, które słyną z swej piękności. Otóż pozwolę sobie teraz opisać w krótkości kilka takich okolic, w nadziei, że nie znudzę tem czytelników, zwłaszcza takich, którym okolice te jeszcze nie są dobrze znane.

Kapfenberg. Frauenberg.

Takim z czytelników, którzy odbywali kuracje w wodoleczniczym zakładzie Fürstenhof, jest miejscowość Kapfenberg znaną. Leży ona przy kolei żelaznej, prowadzącej z Wiednia przez Bruck a. d. Mur do Aussee i jest w ciepłej porze roku zwykle przepełnioną letnikami, których dostarcza Wiedeń, a po części także Grac. Kapfenberg nie odznacza się wprawdzie ani przesadną czystością ulic, ani szczególną wygodą pomieszkań, ani też dobrocią kuchni*), ale zato posiada inne zalety, które doń ściągają mnóstwo letników.

Jedną z tych zalet jest łatwość dostania się z Wiednia do Kapfenberg. Drugą zaletą jest taniość życia tamże. Trzecią zaletę stanowią wyborne kąpiele w rzece Mürz. Czwartą zaletą jest zupełna swoboda życia. Gdy bowiem w innych schroniskach letnich, jak np. w Ischlu lub w Gmunden, tętni życie poniekąd już wielkomiejskie, panuje w Kapfenberg jeszcze to, czego w schroniskach letnich właśnie szukamy, tj. swoboda życia wiejskiego. Piątą zaletą jest tak zwany Schlossberg. Jest to wysoka i kształtna góra, leżąca tuż za miastem i pokryta od stóp aż do szczytu cienistym lasem, służącym do przechadzek. Szóstą nareszcie zaletą Kapfenbergu jest łatwość robienia wycieczek w rozmaite strony, jak np. do Bruck a. d. Mur, do Gracu, na Semmering, do Thörl i t. d.

Najprzyjemniejszą i najwdzięczniejszą wycieczką, jakie z Kapfenberg pieszo zrobić można, jest według mego zdania wycieczka do F r a u e n b e r g, wioski, oddalonej około pięciu kilometrów od Kapfen-

*) Wyjątek w tym względzie stanowi zakład S t e i n e r h o f, który posiada kuchnię niezłą i pomieszkanie dość wygodne.

berg. Wioska ta przedstawia się tak malowniczo, że wątpię, czy najbujniejsza fantazja zdołałaby utworzyć krajobraz piękniejszy tak co do kompozycji, jak i co do kolorytu. Gdyby przeto za Kapfenbergiem nie przemawiało nic innego, jak tylko bliskość tej wioski, toć już dla tej jednej przyczyny warto tam się zatrzymać. Zresztą już sama przechadka z Kapfenbergu do Frauenbergu napawa rozkoszą niewymowną i wprawia w usposobienie jak najweselsze.

Opuściwszy Kapfenberg idziemy popod górę zamkową i wychodzimy po kilkunastu minutach na wzgórze, gdzie nas otacza już powietrze podalpejskie, a więc orzeźwiające. Oddechamy tedy całą piersią i czujemy, że z każdym oddechem przybywa nam sił, zdrowia, energji i elastyczności. Nadto idziemy odtąd przez okolice, tworzące prawie nieprzerwany łańcuch sielanek alpejskich. Po obu bokach drożyny wznoszą się wspaniałe góry, ozdobione lasami ciemnozielonymi. Pomiędzy lasami zaś leżą częścią w dolinach, częścią na pochyłościach gór łąki, odznaczające się ową świeżą zielonością, jaka łąkom podalpejskim jest właściwą. Tu i owdzie spostrzegamy także płaty roli, pokryte zbożem. Wszystko to, oblane światłem słonecznem, tworzy krajobrazy pełne harmonji i wdzięków.

Za każdym skrętem drożyny odsłania się inny krajobraz, a każdy z nich uśmiecha się jak najponętniej. Po wspinaniu się mniej więcej półtoragodzinnym dostajemy się na wysokość 936 metrów i przychodzimy do miejsca, gdzie się drożyna zwraca pod kątem prostym na prawo. Idziemy więc w tym kierunku, a doszedłszy do pewnego punktu, oglądamy tam naraz widok czarujący. Stoimy przez chwilę w niemem zachwyceniu, prawie nie pewni, czy marzymy, czy widzimy na jawie. Bo oto wśród Alp niebotycznych i lasów rozległych, w okolicy, wydającej się być bezludną, bieleje kościółek, tuż przy nim wznosi się wieżyczka ze zegarem; obok kościółka widać cmentarzyk wiejski, a kilkanaście kroków dalej stoi dom na piętro, widocznie mieszkanie proboszcza. Oprócz tego spostrzegamy tam jeszcze kilka innych domów. Mamy więc przed sobą sielankową miejscowość F r a u e n b e r g.

Dzieli nas od niej jednak jeszcze głęboka, świeżą zielenią pokryta dolina. Obchodzimy więc tę dolinę i przybywamy po kilkunastu minutach do celu. Wypocząwszy w gościnnym domu „zur Linde“ pod ową rozłożystą lipą, która tworzy godło tego domu, wstajemy, bo panorama, jaką z pod tej lipy częściowo widzimy, jest tak barwna i prześliczna, że nie możemy oprzeć się chęci przypatrzenia się jej z lepszego stanowiska. Uprzejma gospodyni rzeczonego domu gościnnego wskazuje nam takowe. Jest niem tameczna szkoła ludowa. Z okien tej szkoły przedstawia się widok nie do opisania piękny. Krajobraz łączy się tam z krajobrazem, a każdy z nich posiada odrębne wdzięki i powaby. Zachwyceni tym widokiem siedzimy nieruchomi, a tylko wzrok nasz przesuwa się od czasu do czasu z jednego przedmiotu na drugi.

Aby się nasycić wdziękami okolic, o których mowa, bawiłem w Kapfenbergu sześć dni i przez cały ten czas chodziłem co rana do Frauenbergu. Pomimo to urok, jaki ta miejscowość wywiera, nie bladł bynajmniej i nie tracił na sile. Chętnie byłbym się przeto zamieniał z nauczycielem tamecznej szkoły ludowej na jego posadę, i objawiłem mu to życzenie. Odpowiedział mi, że nie ma nic przeciw temu, jeśli tylko umiem grać na organach, gdyż w Frauenbergu nauczyciel musi być zarazem organistą. Niestety! Na organach grać nie umiem, i ta to okoliczność sprawiła, że życzenie moje spełzło na niczem.

Kilkaset stóp powyżej Frauenberga leży w miejscu dominującem gościnny dom Kirschbauera. Ma on na piętrze sześć pokoi gościnnych, które są zawsze zajęte przez letników. W oddaleniu mniej więcej jednego kilometra od tego domu spostrzegamy wysoką, stożkowatą górę, ozdobioną na szczycie kształtną altaną brzozową. Z altany tej, leżącej w wysokości 1300 m., mamy upajający widok na otaczające góry i doliny.

Powróciwszy do domu Kirschbauera i przeszedłszy przez podwórze, wchodzimy w gęsty las dębowy. Tym lasem mamy dojść do głównego celu wycieczek w ową okolicę, t. j. na górę R e n n f e l d. W lesie znajdujemy drożynę, zaznaczoną staraniem Stowarzyszenia alpejskiego białymi i czerwonymi kwadracikami, którymi drzewa są pomalowane. Kierując się tymi znakami, wspinamy się powoli coraz wyżej i wychodzimy ostatecznie na R e n n f e l d, górę 1630 metrów wysoką. Panorama, jakie się z tej góry przedstawia, wynagradza sowicie trudy wydostania się na nią. Widzimy ztamtąd liczne Alpy, wsie i miasteczka, a w końcu gubi się wzrok w owej sinawej dali, ktora na krańcach horyzontu zdaje się zlewać z niebem.

Z Rennfeld możemy dwoma drogami powracać do Kapfenbergu, albo tą samą, którąśmy tam się dostali, albo przez B r u c k a. d. Mur. Dla odmiany obieramy tę drugą drogę. Jest ona zarazem krótszą, gdyż schodzimy nią w trzech godzinach do B r u c k a. d. Mur. Odpocząwszy tamże, wsiadamy wieczorem do pociągu i powracamy w pięciu minutach tam, skądeśmy z rana wyszli, t. j. do Kapfenberga.

Miasteczka Bruck a. d. Mur nie będę tu opisywał, bo któż nie zna tego tak przyjemnego schroniska letniego. Leży ono, jak wiadomo, wśród okolicy malowniczej i posiada wszystko, czego letnikom potrzeba. Hotele są wygodne, kuchnia jest dobra, kąpiele rzeczne — łączy się tam wspaniała M u r ze znaną nam już M ü r z — są wyborne, a lasy leżą tak blisko, że można się do nich dostać w kilku minutach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)